

Kwiecień – bohater literacki



Józef Chełmoński (1849-1914), Bociany, 1900, olej na płótnie, 150×198 cm, Muzeum Narodowe w Warszawie, fot. wikimedia commons

Włodzimierz Wójcik (*Sosnowiec*)

Czwarty miesiąc roku sypie kwiatami; w naszych ogrodach pojawiają się żonkile, prymule, stokrotki, a pękate krzewy forsycji pyszną się wprost potęgą żółci, która w szarym o tej porze roku pejzażu Zagłębia i Śląska pełni funkcję słonecznych promieni. Raz po raz prószы śnieg przypominający swoją konsystencją kaszę perłową. W jednej chwili przekształca się w prawdziwą zadymkę, to znów w ostrą wiosenną ulewę. Sprawdza się obiegowe przysłowie: „Kwiecień plecień, wciąż przeplata trochę zimy, trochę lata”. Bywa jednak, że potwierdza się i inne: „Czasem kwietnia pora letnia, czasem zwiedzie, w marzec zjedzie”. Niektóre spośród tych rymowanych mądrości ludowych mają charakter prognostyczny. W bogatej księdze przysłów czytamy między innymi: „Kwiecień, co deszczem rosi, wiele owoców przynosi”, „Śnieg kwietniowy trawie i konikowi zdrowie” oraz „Suchy kwiecień, mokry maj, będzie żyta niby gaj”.

Można powiedzieć, że miesiąc ten jest prawdziwym bohaterem literackim. Jego uroki sławił w wieku XVII Jan Żabczyc (w cyklu poetyckim „Kalendarz wieczny”), w XIX Hieronim Marcinkiewicz i Stanisław Egbert Koźmian, Syrokomla i Romanowski. Reymont na progu naszego stulecia sławił kwietniowy pejzaż polski i wiosenny wysiłek człowieka na roli. Na pierwszych stronach trzeciej części „Chłopów” pisał:

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł, jako ten parob, któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do cna, zrywać się ano musi nade dniem, by wnetki imać się pługą i do orki się brać.

Poczyślało dnieć.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapwały rzęsiście z drzew pośpionych w mącie nieprzejrzanym.

Niebo, kiej ta płachta modrawa, przejęta wilgotnością i orosiła, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły niby mleko wzburzone przy udoju zalewały łęg i pola nizinne. Kokoty zaczęły pisać na wyprzódki gdziesik po wsiach jeszcze niewidnych.

Ostatnie gwiazdy gasły kiej oczy, śpiączką morzone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie, roztlewające spod ostygłych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone. (..) Dzień się już stawał i przepierał z blednącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kożuchem.

Reymont w rytmie kwietniowych dni i nocy widział zarówno piękno przyrody jak też sens i humanistyczny wymiar powszedniego trudu rolnika. Kilkadziesiąt lat później – z perspektywy doświadczeń wojny i okupacji – Julian Przyboś kreował poetycką wizję kwietnia zupełnie na inny sposób. W wierszu mającym oryginalny tytuł „4. IV. 1943” (z tomu „Póki my żyjemy” 1944) pisał:

Wróg ginie, wróg zwycięża,
armie wstają, armie zapadają w grób,
a już na cały głos na gałęziach
ptaki za mnie wyraziły drzewa;
i spod śniegu, który ziemię z oczu start mi,
nagle w cichej śnieżycy okwiecia
wyjawily się trześnie
w pośpiechu przed moimi ustami!
Z łatwością lotu we śnie

uniosę cię z natchnienia

jak z bitwy

w zielony gaj, w pokój,

wiosno, piosenko rzewna

na imieniny kwietnia

czterdziestego trzeciego roku!

Jak widać kwiecień znaczony jest bezustannym ścieraniem się ze sobą różnych sił. W przytoczonych przysłowiach są to: chłód i ciepło, susza lub deszcz, deszcz lub śnieg. U Reymonta spierają się ze sobą noc i dzień, chmury i słońce, praca i zmęczenie. W poetyckiej wizji Przybosa zderzają się siły śmierci, znaczony wojennym totalitaryzmem, z żywiołem przyrody symbolizującej życie, rozwój, tworzenie, nadzieję. Warto zwrócić uwagę na to – ale mam tu na myśli porządek już pozapoetycki – by kwietniowej erupcji zieleni i barw nie tylko nie zagrażał totalitaryzm wojenny, ale i totalitaryzm siarki, kwaśnych deszczów, ołowiu, smogu. Warto chronić to, co przynosi nam kapryśny, ale i hojny miesiąc...

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

Od redakcji

Dotrota Kobiela, która reżyserowała nominowany do Oskara film „Twój Vincent” przygotowuje nową niezwykłą produkcję. Będzie to ekranizacja powieści Władysława Reymonta „Chłopi”, za którą pisarz otrzymał w 1924 r. nagrodę Nobla. „Twój Vincent” był pierwszą na świecie pełnometrażową animacją malarską. Został najpierw nakręcony jako typowy film aktorski, a następnie każda klatka została namalowana farbą olejną w stylu malarstwa Vincenta Van Gogha przez ok. 100 artystów polskich i zagranicznych. „Chłopi” również zostaną najpierw nakręceni jako typowy film aktorski. Wystąpią m.in. Mirosław Baka, Małgorzata Kożuchowska, Ewa Kasprzyk. Następnie, tak jak w poprzednim filmie, zostanie wykorzystana technika malarska, tym razem inspirowana malarstwem polskich twórców przełomu XIX i XX w. – Józefa Chełmońskiego, Leona Wyczółkowskiego czy Jacka Malczewskiego. Zaangażowanych zostanie 50 malarzy w trzech studiach – w głównym w Sopocie oraz w Serbii i na Ukrainie. Namalują oni ok. 72 tysiące obrazów, które staną się podstawą animacji.

Zapowiedź filmu:

Zobacz też:

Marzec – zapowiedź wiosny w poezji

Żyjemy polonezem

Z Romaną Agnel rozmawia Jolanta Łada-Zielke



Romana Agnel, New Delhi 2020 r., fot. Innee Singh

Romana Agnel, dyrektor Baletu Cracovia Danza, jest współinicjatorką wpisu poloneza na listę reprezentatywną niematerialnego dziedzictwa kulturowego ludzkości UNESCO. Trwają przygotowania dokumentacji dla komisji UNESCO. Przedsięwzięcie ma charakter ogólnopolski, ale ważną rolę odegra w nim miasto Kraków, znane ze swego przywiązania do tradycji historycznej i dziedzictwa kulturowego. Projekt wspierają władze Krakowa, natomiast Balet Cracovia Danza stanie się koordynatorem

wydarzeń artystycznych towarzyszących tej kampanii.

Wpis poloneza na listę UNESCO ma na celu jego rozpowszechnienie ale także ochronę i zabezpieczenie żywej tradycji tego tańca. Czy to znaczy, że jest on w jakiś sposób zagrożony?

W pewnym sensie zagrożona jest właśnie „żywa” praktyka poloneza, czyli tańczenie go na co dzień, a nie tylko wykonania o charakterze historycznym, czy artystycznym. Ten najsłynniejszy polski taniec jest obecnie, niestety, wypierany z wielu bali, czy nawet studniówek, na przykład przez walca. Poza tym zaniedbuje się naukę poloneza. Nie mamy w Polsce szkół tańców narodowych, brak też systematycznego nauczania poloneza, choćby na lekcjach wychowania fizycznego. Istnieje więc potrzeba, po pierwsze systematycznej edukacji w tym zakresie, a po drugie, żeby nie odbywało się to na zasadzie przymusu. Nie chodzi o to, żeby na studiówkach i innych imprezach szkolnych tańczenie poloneza traktowano jak obowiązek, który młodzi ludzie powinni spełnić, ale żeby był to dla nich swego rodzaju prestiż, forma autoprezentacji. Myślę, że trzeba stworzyć swego rodzaju „modę” na poloneza i w tym kierunku powinno się podjąć działania ochronne i promocyjne. Dlatego przygotowałam dosyć szeroką i „długodystansową” strategię, aby uwrażliwić różne instytucje i organizatorów wydarzeń artystycznych na praktykowanie i prezentowanie poloneza.

Ja uczyłam się tańczyć poloneza już w przedszkolu, potem w podstawówce na lekcjach wychowania fizycznego. Jak byłam w klasie maturalnej, to na miesiąc przed studniówką ćwiczyliśmy go parę razy w sali gimnastycznej. Ale to był koniec lat osiemdziesiątych, kiedy pielęgnowano jeszcze tę tradycję.

To miałaś szczęście. Ale ja już wielokrotnie przygotowywałam maturzystów do tego balu i widziałam, ile problemów sprawia im wykonanie kroków poloneza do muzyki. Wynika to stąd, że zatańczenie poloneza na rozpoczęcie studniówki to jednorazowe wydarzenie, do którego ćwiczy się „na chybcika”. Nie ma natomiast tradycji nauczania polskich tańców przez wszystkie lata szkoły średniej, żeby w ostatniej klasie wszyscy byli w stanie wykonać poloneza. Wtedy mogę robić z nimi na zajęciach tylko choreografię i nie muszę uczyć ich wszystkiego od początku. Niektórzy mają podstawowe problemy z rytmem, nie są w stanie usłyszeć, gdzie jest „raz”, a ten pierwszy krok w polonezie jest przecież bardzo ważny. Braki w wykształceniu jeśli chodzi o polskie tańce to jedno, a drugie – polonez jest tylko „eventowym” tańcem, przypisanym do jednej imprezy. Natomiast pomija się jego rolę obyczajową, historyczną i charakterologiczną, a przecież jest to taniec odzwierciedlający polską mentalność.



Polonez w wykonaniu Baletu Cracovia Danza podczas Narodowego Święta Niepodległości w 2017 r.

Czy istnieją jakieś źródła historyczne na ten temat?

Bardzo mało jest pozycji książkowych o samym polonezie, z których można byłoby dowiedzieć się o jego historii i o różnych jego odmianach. Ja zajmuję się rekonstrukcją polonezów z dawnych epok. Próbuję odtworzyć jeden z nich z traktatu napisanego w języku niemieckim w 1759 roku. Polonez – kontredans tam przedstawiony, zapisany został w systemie

Raoula-Augera Feuilleta, czyli francuskim systemem zapisu tańca. Są to więc unikaty, perełki, które pokazują, że polonez pełnił istotną funkcję towarzyską, miał także bardzo wysoką i silną pozycję w całej Europie. Warto byłoby przywrócić mu tę dawną rangę.

Podobno pierwowzorem poloneza jest „chodzony” wywodzący się z tradycji ludowej, który ma też trójdzielne metrum. Jak to się stało, że później przyjęła się francuska nazwa tego tańca - „polonaise”?

W „chodzonym” wszystkie kroki są w miarę równe, dlatego bardziej przypomina on marsz. Wykonywano go w środowiskach wiejskich, głównie na weselach. Natomiast polonez to po prostu „taniec polski”. Ta nazwa wzięła się stąd, że tańce polskie, które komponowano i prezentowano na dworach Europy, pełniły funkcje reprezentacyjne i w którymś momencie zastąpiły pawanę. Forma poloneza służyła temu, żeby móc się zaprezentować, rozpocząć jakąś uroczystość. Mogli go tańczyć wszyscy i w każdym wieku. W związku z tym tańce polskie określane były nazwą *polonaise*, *alla polacca*, czy *polnischer Tanz*. Z biegiem czasu sprawami tańca zajęła się Francja i ten słownik taneczny jest do dziś oparty na terminach z języka francuskiego. Nawet nazwy kroków w naszym mazurze są francuskie: *pas marché*, *pas balancé*, *pas chassé*, *tour de main*, etc. Dlatego polonez w osiemnastym wieku otrzymał nazwę

francuską, która jest używana do dziś.



Romana Agnel, fot. Ilja van de Pavert



Romana Agnel, fot. Ilja van de Pavert

Wspomniałaś, że polonez jako gatunek muzyczny inspirował zagranicznych kompozytorów. Przykładowo przywołam mojego ulubionego twórcę Ryszarda Wagnera, który nie dość że skomponował poloneza D-Dur na fortepian w dwóch wersjach, na dwie i cztery ręce, to jeszcze umieścił motywy polonezowe w swoich operach *Złoto Renu* i *Zmierzch bogów*, nie wspominając już o uwerturze *Polonia*...

Tylko, czy ktoś o tym wie? Wiedza na ten temat też wymaga uzupełnienia. Dlatego nadszedł moment, żebyśmy mogli mówić o obecności poloneza w kulturze europejskiej, a nawet światowej. Nie jest to tylko muzyka polska, którą tworzyli wyłącznie polscy kompozytorzy, choć praktycznie każdy z nich pisał polonezy. Ale komponował je też Jan Sebastian Bach (*Suita francuska E-Dur, BWV 817*), Piotr Czajkowski (opera *Eugeniusz Oniegin*), wspomniany przez ciebie Wagner. Różne formy polonezowe są obecne w utworach baletowych, albo w operach. Mam nadzieję, że my też będziemy mogli przygotować jakieś ciekawe opracowania na ten temat. Chcemy to zrobić jeżeli chodzi o Kraków, bo nie ma żadnej monografii, ani innej pozycji na temat dziejów i tradycji wykonawczej poloneza w Krakowie, zarówno salonowej, jak i tej kultywowanej przez nasze zespoły. Do najsłynniejszych krakowskich utworów z tego zakresu należy *Polonez Kościuszki*. Myślę, że nasze działania powinny także zainspirować naukowców, artystów, oraz nauczycieli. Chodzi o to, żebyśmy to my, Polacy, byli inicjatorami wpisu Poloneza na listę UNESCO, a nie żeby ten pomysł wyszedł z innego kraju.



Romana Agnel

Pozwól, że zacytuję Tomasza Koniecznego, który kilkakrotnie śpiewał partię Wotana w *Pierścieniu Nibelunga* Wagnera:

To niewiarygodne, że ten tak bardzo germański kompozytor napisał tę najbardziej artystokratyczną ze wszystkich części „Pierścienia Nibelunga” w rytmie poloneza. Słysząc go wyraźnie we wszystkich scenach z udziałem arystokracji germańskich bogów, zwłaszcza na końcu, kiedy uroczyście wkraczają do Walhalli. Jako Wotan, dla żartu wykonuję czasami w tym momencie krok poloneza. Polonez w „Złocie Renu” jest bardzo

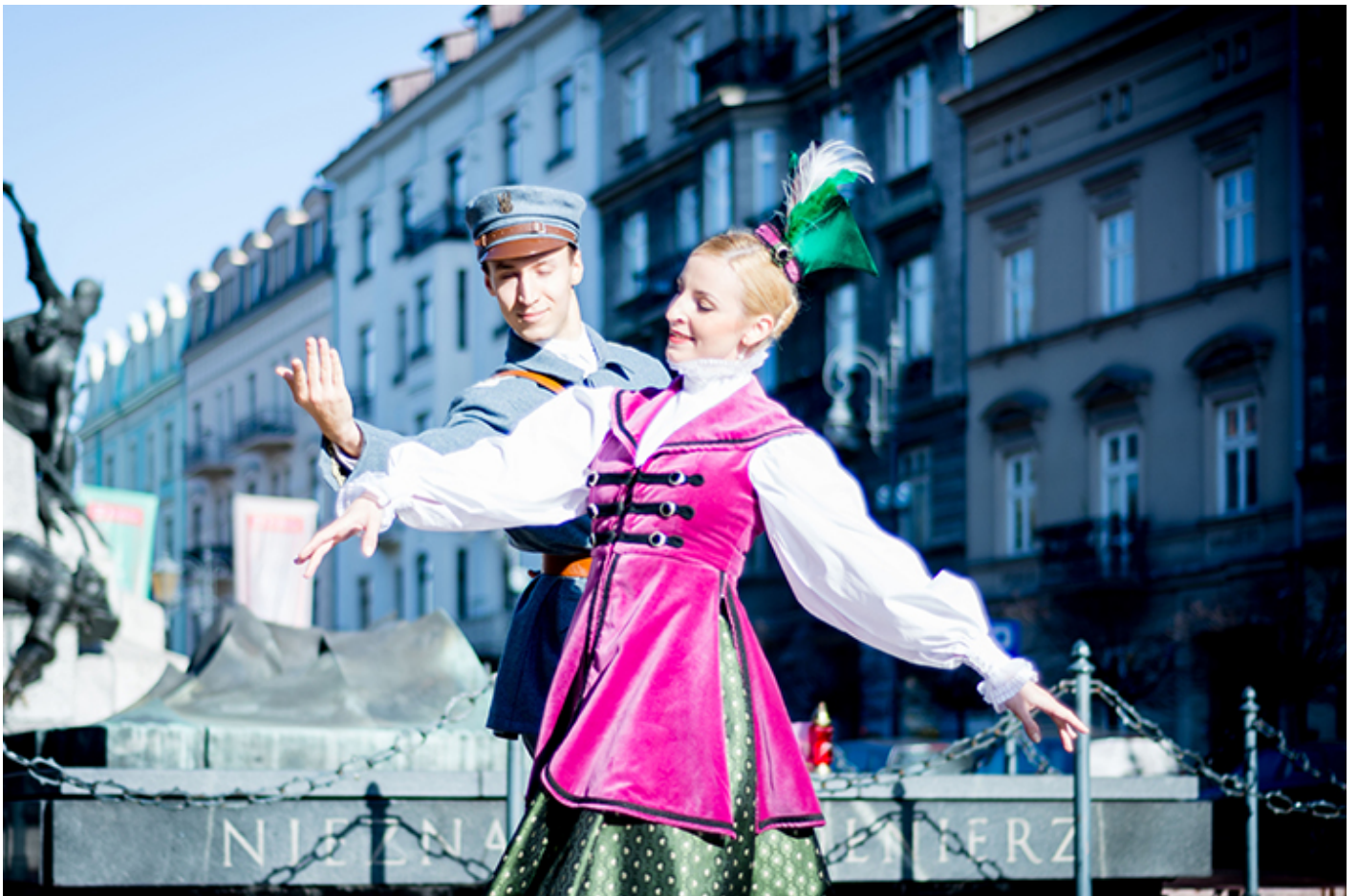
dobrej jakości, fantastycznie napisany, ma bardziej dworski i elegancki charakter niż niektóre polonezy z oper Stanisława Moniuszki.

A wracając na krakowską scenę; z jakim odzewem spotykają się Wasze działania?

Pierwsze owoce już są, bo pani Katarzyna Olesiak, Dyrektor Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa zdecydowała, że obecny rok upłynie pod znakiem poloneza, zagości on podczas Nocy Tańca na wszystkich scenach, na których odbędą się prezentacje taneczne. Będzie nauka poloneza, będzie „integracja” z polonezem, więc widać, że te pomysły jakoś się przyjmują i są dobrze oceniane. My w Krakowie chcemy zająć się tym w sposób szczególny. Planujemy specjalną konferencję pod tytułem „Polonez w Krakowie”. Chcemy organizować imprezy artystyczne związane z promocją poloneza o większym zasięgu, które obejmowałyby wspólne jego wykonywanie przez różne krakowskie zespoły i formacje taneczne. Chcemy pod tym względem się zjednoczyć, zresztą nasze hasło brzmi: „Polonez łączy”. Zamieszczamy już informacje o podjętej przez nas promocji poloneza między innymi na specjalnym profilu na Facebooku. Po prostu żyjemy polonezem! Ludzie odbierają to bardzo dobrze, widać, że tego potrzebują. W naszą akcję angażuje się wiele podmiotów nie tylko w Polsce, ale

i za granicą.

Następna rzecz, która jest nam niezwykle potrzebna to muzyka. Mamy bardzo mało nagranej, zarejestrowanej muzyki polonezowej. Chodzi tu także o kompozycje poloneza. Chcemy pokazać, że ten taniec żyje, że jest inspiracją dla dzisiejszych twórców. Trwa akcja tworzenia „kół polonezowych”. Mamy nadzieję, że Dni Poloneza, które już planujemy, wpiszą się na stałe w kalendarz imprez kulturalnych w Polsce. Oczekujemy, że dzięki temu wzrośnie wiedza i świadomość na temat poloneza, ale też umiejętności tańczenia.



Polonez w wykonaniu Baletu Cracovia Danza, 2018 r., fot. Erdem

Yildiz



Polonez w wykonaniu Baletu Cracovia Danza wraz z mieszkańcami miasta na Rynku Głównym w Krakowie w 2019 r., fot. Tomasz Korczyński

Jakie działania trzeba podjąć w celu sfinalizowania wpisu?

Do końca lutego trwała internetowa zbiórka podpisów poparcia dla naszej idei. Zebraliśmy ich w sumie sześć tysięcy, to jest bardzo dużo. Nasze *dossier* zostało pozytywnie zaopiniowane przez Polską Radę Dziedzictwa Niematerialnego. Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego Piotr Gliński popisał nominację poloneza. W tej chwili przygotowujemy *dossier*, aby zaprezentować go na poziomie międzynarodowym. Musimy

między innymi opracować film prezentujący przedmiot nominacji. Cieszymy się, bo wiele osób deklaruje, że prześlą nam swoje własne materiały filmowe.

Czy po ogłoszeniu nominacji odbędzie się impreza, w której wezmą udział mieszkańcy Krakowa? Coś takiego, jak wspólny bal dla tancerzy i publiczności na Rynku Głównym, kończący każdą edycję Festiwalu Tańców Dworskich? Czy wszystko to zależy - niestety - od dalszego rozwoju pandemii?

Mamy nadzieję, że uda nam się zorganizować taki bal. Chcemy nie tylko zatańczyć poloneza na Rynku, ale żeby zagościł on ponownie w świadomości mieszkańców i we wszystkich kulturalnych instytucjach. Spodziewamy się, że Dni Poloneza będą świętem, podczas którego będzie możliwość zatańczenia, zaśpiewania i być może przyjrzenia się różnym aspektom tego tańca. Niestety, wiele rzeczy zależy od pandemii i od rady UNESCO, w tej chwili już międzynarodowej. Ale bardzo pozytywnym faktem jest poparcie władz miasta Krakowa, szczególnie Wydziału Kultury, dla naszego projektu.

Polonez w wykonaniu Baletu Cracovia Danza na Rynku Głównym w Krakowie:

Zobacz też:

Czy Sopot stanie się na powrót „Bayreuth Północy”?

“Kwartet dla czterech
aktorów” wystawiony
przez TEATR NASZ
z Chicago



Małgorzata Oman (*Chicago*)

W piątek 26 marca 2021 r. na deskach sceny *Leela Art Center* w Des Plaines, jednym z przedmieść Chicago, w ramach obchodów Międzynarodowego Dnia Teatru, obejrzałam “Kwartet dla czterech aktorów” w reżyserii Andrzeja Krukowskiego, wystawiony przez Teatr Nasz. Przy, w sumie, niewielkiej publiczności odbył się spektakl, który pozostanie na długo w mojej pamięci. Spektakl, który zaskoczył pomysłowością realizacji, dopracowaniem szczegółów, a przede wszystkim

kunstem gry aktorskiej.

Dramat Bogusława Schaeffera nie jest łatwy w odbiorze dla widza, który przychodzi z nastawieniem, że zobaczy sztukę teatralną opartą na konwencji teatru tradycyjnego. Bo też i sam autor nie jest typowym dramatopisarzem. Bogusław Schaeffer był przede wszystkim niezwykle płodnym kompozytorem utworów muzycznych, których stworzył w sumie 550 w 23 różnych gatunkach, od muzyki fortepianowej poczynając, poprzez utwory dla orkiestry, utwory jazzowe, a na muzyce elektronicznej kończąc. Schaeffer był awangardystą i eksperymentatorem w muzyce. Był też docenionym i uznanym dramaturgiem, co jest bardzo rzadko spotykanym fenomenem. Przejście od muzyki do teatru następowało stopniowo acz konsekwentnie. Dziś tego wielostronnie utalentowanego muzyka i dramaturga stawia się w tym samym rzędzie co Gombrowicza czy Mrożka.

Sam autor, według własnych słów, cenił sobie w utworach dla aktorów możliwość przemówienia do publiczności językiem sztuki, ale o wiele bardziej zrozumiałym niż muzyka, a ponadto zmuszającym do myślenia, czego muzyka nie zawsze potrafi dokonać. To zmuszanie do myślenia w sztukach Bogusława Schaeffera nie odbywa się za pomocą tekstu o podniosłej treści, wręcz przeciwnie poprzez humor, mieszankę codzienności i lekkość przekazu odwołującą się do inteligencji widza.

Jak zatem podejść do odbioru “Kwartetu dla czterech aktorów”?

Głównym tematem sztuki, jak pisze w swej książce na temat Bogusława Schaeffera, *Bogusław Schaeffer and His Music*, Jadwiga Hodor:

jest niemożność pogodzenia sztuki z życiem; życie i związane z nim mechaniczne myślenie przekreśla sensowny kontakt ze sztuką, umożliwia tylko zainteresowanie namiastkowe, takie, jakie wywołuje krótka notatka w prasie.

Obok tego zdania chciałabym jednak postawić wypowiedź krytyka Jana Koniecpolskiego, który stwierdził przed krakowską premierą sztuki w 1982 roku:

Najdalej idący sens „Kwartetu...” bierze się ze ścisłej więzi aktorów z publicznością. W danym miejscu i czasie.

Innymi słowy, to przekaz aktorski, otaczająca rzeczywistość polityczna i społeczna oraz świadomość widowni, która tę sztukę ogląda, wpłyną na końcowy efekt tego utworu. Nie mogłabym się bardziej z autorem tej wypowiedzi zgodzić.



Czwórkę postaci, które obserwujemy na scenie, (świetnie pomyślane indywidualności odzwierciedlające dzisiejszą rzeczywistość społeczną – transwestyta czy androgyniczny typ kobiety), jednoczą wspólne działania. Z drugiej zaś strony, dzieli ich morze indywidualnych skłonności, percepcja świata i wygłaszane sądy. Widzimy bardzo wyraźnie brak możliwości porozumienia oraz ciągłe mieszanie się wypowiedzi na tematy abstrakcyjne, wręcz górnolotne z urywkami zdań o banalnej treści na temat codziennych zdarzeń.

Co tu dużo mówić, widzimy siebie i naszą rzeczywistość fragmentaryczną i pourywaną, którą tworzy nasze stałe zabieganie. Bo choć odczuwamy brak *sacrum* w naszym życiu i ciągnie nas aby podnieść głowę i sięgnąć wyżej po wartości ponadczasowe, te, które nas uskrzydlają, *profanum* ciągle

wchodzi nam w drogę, ściągając w dół i zmuszając do myślenia o prozaicznych, codziennych zajęciach.

Znawcy twórczości dramatycznej Schaeffera zgodnie twierdzą, że autor pisał dla aktorów, dając im możliwości improwizacji i pole do popisu. Aktorzy Teatru Nasz wykorzystali maksymalnie tę możliwość. Każda z kreacji, poczynając od reżysera spektaklu i aktora, Andrzeja Krukowskiego, przez Sarę Krukowską, Liliannę Totten i Bartosza Kaszę, a na wiolonczelistce – Liliannie Zofii Waśko kończąc, świeci swoim własnym blaskiem. Każda z postaci ma swoje pięć minut, gdzie cała uwaga skupia się na niej. I nie ma tu słabego punktu. Wszystkie role są dokładnie dopracowane i po mistrzowsku odegrane.

Uczestniczymy w spektaklu nie do końca pewni co się tu dzieje i co przyniesie następna scena. Nie możemy jednak oderwać oczu od akcji, która toczy się na scenie. Dokładnie tak, jak stojąc przed abstrakcyjnym dziełem sztuki, nie mamy sprecyzowanej odpowiedzi na pytanie co nas w nim pociąga, wiemy jednak, że nam się podoba i chcemy na niego patrzeć.

W „Kwartecie dla czterech aktorów” znajdziemy wiele okazji do śmiechu, będziemy jednak również zmuszeni do myślenia i wyłączenia uwagi, aby uchwycić znaczenie i sens tego inteligentnego humoru. Bowiem, według samego autora:

Z uprawiania sztuki muszą wyrastać myśli.

Wyszłam po spektaklu w marcową chłodną noc rozpromieniona, napompowana energią i optymizmem. Przypomniały mi się uczucia, z którymi przed laty opuszczałam Teatr Stary czy Teatr Stu w Krakowie, przemieniona, pod wrażeniem, oczyszczona. Czy to możliwe, że tu w Chicago przyjdzie mi jeszcze przeżywać takie same momenty po spektaklach w polskim wykonaniu?





Teatr Nasz odkryłam niedawno. Mielicie Państwo możliwość przeczytania o nim na stronach magazynu „Culture Avenue”, przy okazji premiery, spektaklu “Zemsta – czyli dyskretny urok rodziny”, uwspółcześnionej wersji komedii Aleksandra Fredry. Dla przypomnienia jednak dodam, że teatr ten zaczął funkcjonować 10 lat temu, jako grupa amatorska. W 2017 roku, pieczę nad nim przejął Andrzej Krukowski, absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Teatralnej i Telewizyjnej im. Leona Schillera w Łodzi. Pod kierunkiem Krukowskiego,

Teatr Nasz wystawił „Bal w Operze” Juliana Tuwima, „Operettę Kicz Gombrowicz” według scenariusza reżysera, spektakl „Muzy Chopina” przygotowany na III Festiwal *Chopin in the City* organizowany przez Grażynę Auguścik oraz wspomnianą już wyżej “Zemstę – czyli dyskretny urok rodziny” tym razem w reżyserii Ryszarda Gajewskiego-Gębki. Plany Teatru Nasz sięgają wysoko. Myślą o wystawieniu Schulza, Herberta...

Ten ambitny repertuar musi rozbudzić ciekawość miłośników teatru. Wiem, że od razu rozpałił moją. Po obejrzeniu “Kwartetu dla czterech aktorów”, jestem pod wrażeniem umiejętności aktorskich jakie reprezentują członkowie tej grupy oraz pomysłowości i odwagi reżysera. Niecierpliwie czekam na więcej, mając ogromną nadzieję, że chicagowska Polonia pozna się na talentach osób, które tworzą Teatr Nasz, że doceni gratkę jaka nam się tu trafia i pomoże, poprzez swoją obecność na spektaklach, rozwinąć skrzydła temu zespołowi.

Fotografie pochodzą ze sztuki Bogusława Schaeffera „Kwartet dla czterech aktorów”, w reż. Andrzeja Krukowskiego, wystawionej przez Teatr Nasz z Chicago, fot. Aldona Olchowska.

Zobacz też:

„Zemsta” na podstawie Aleksandra Fredry w Chicago

Żegnając Adama Zagajewskiego

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)

żyli,

miętko,

/Bez końca/

I w śmierci będziemy

tylko inaczej, delikatnie i

rozpuszczeni w muzyce...



Zdawał się być wysłannikiem Parnasu na ziemię, by wziąć w obronę poezję, piękno, delikatność. W swoich wierszach i esejach nieustannie przypominał nam, że istnieje życie duchowe, mistyka, tajemnica.

Adam Zagajewski zmarł 21 marca, w Światowy Dzień Poezji. Od lat towarzyszyła mi jego twórczość, ucząc spoglądania na świat, ludzi, dzieła sztuki. Czytając utwory Zagajewskiego zamieniałam się w studentkę prowadzonego przez niego kursu nazwanego w jednym z wierszy „Mistyką dla początkujących”. Słuchałam

uważnie nauk i wierzyłam w obietnice:

Schronimy się w dzwonach, w kołyszących się

dzwonach, w huku, w powietrzu, w sercu uderzeń /Dzwony/

Czasami obrażałam się na Niego za pięknoduchostwo, estetyzm, elitaryzm, bo jeśli podróżował to tylko do Toskanii, czy Burgundii, zwiedzał muzea delektując się obrazami mistrzów, zachwycił się pływaniem w Morzu Śródziemnym, przyjaźnił się z wyjątkowymi osobami. Ale jednocześnie brał w obronę słabość, delikatność, zwyczajność. I właśnie ta równoległość tych dwóch uzupełniających się, a nie wykluczających wątków, jest siłą tej poezji. Fascynowała mnie zawsze głębia abstrakcyjnego myślenia w niej ukrytego, rozległa znajomość literatury, historii, sztuk pięknych i muzyki klasycznej. Poeta nieustannie pogłębiał swoją wiedzę, o czym kilkakrotnie pisał w esejach. Wtedy, gdy opuszczał go płomień natchnienia, czytał dzieła innych mistrzów, słuchał muzyki, pogłębiał wiedzę czekając na dar tworzenia:

Poezja to wiatr wiejący od bogów, mówi

Cioran, powołując się na Azteków....

Oby wrócił ten wiatr.

Wiatr wiejący od bogów,

niech przyjdzie, niech obudzi

ten wiatr. / Wiatr/

Vita activa i *vita contemplativa* – dwa pojęcia często przywoływane przez Poetę, mające nas ustrzec przed zagubieniem się w zgiełku codzienności. *Vita contemplativa* – nakazujące nam przystanąć, wsłuchać się w siebie, w śpiew ptaków, w ciszę panującą w katedrze, w której unoszą się anioły. Zagajewski jest świeckim mistykiem zatroskanym nieobecnością duchowości, dobra, wrażliwości w naszym życiu. Obarcza poezję tajemną misją przywrócenia dzisiejszemu światu utraconych wartości:

Wiem, że są przynajmniej cztery rzeczywistości

a nie jedna, i wszystkie przenikają się

nawzajem, jak cztery Ewangelie / Obecność/

Zamieszkałam w tej poezji, oddycham jej powietrzem,
zachwycam się doskonałością metafor opisujących świat i myśli.
Zawsze na nowo zdumiewa mnie puenta wierszy, do której
powoli skrada się każde słowo, by nagle zaskoczyć, unieść,
olśnić, jak w „Ziemi ognistej”, najbardziej „moim” wierszu-
modlitwie:

Bezimienny, niewidzialny, milczący,

wybaw mnie od amnezji,

zabierz mnie na ziemię ognistą,

weź mnie tam gdzie rzeki

płyną pionowo, pionowo płyną

rzeki poziome. /Ziemia ognista/

Jak sam Poeta napisał w „Odzie do wielości”: „Wiersz rośnie na sprzeczności, lecz jej nie zarasta” – wokół tej sprzeczności i niejednoznaczności oscyluje jego poetycka metoda: między ruchem i bezruchem, między ironią a głębią emocjonalną, między erudycją a prostotą, między muzycznością a malarskością, w tych „przestrzeniach pomiędzy” rośnie poezja.

Czesław Miłosz porównał wiersze Adama Zagajewskiego do „gobelinów, na których drzewa, kwiaty, ludzkie postaci współtworzą jeden wzór”, to wielość świata opisana z zachwytem, głęboką mądrością i odpowiedzialnością za każde słowo.

Niech to wspomnienie i pożegnanie Adama Zagajewskiego zakończy „Płomień” – modlitwa i zaklęcie dla nas, żyjących:

Boże, daj nam długą zimę
i cichą muzykę, i usta cierpliwe,
i trochę dumy – zanim
skończy się nasz wiek.
Daj nam zdziwienie
i płomień, wysoki, jasny.

Zobacz też:

O poecie Adamie Zagajewskim

Doliną Issa w dal płynię

Irena Duchowska (*Litwa*)

Urodzona i mieszkająca na Litwie polska poetka, pedagog, działaczka społeczna, wielokrotnie nagradzana za krzewienie języka oraz kultury polskiej na Litwie. Uhonorowana Srebrnym Krzyżem Zasługi RP za wybitne zasługi w propagowaniu kultury polskiej.



Rzeka, fot. Rudy and Peter Skitterians z Pixabay

O Laudzie

I cóż to za Polak,

Co trylogii nie czyta

I będąc na Litwie,

O Laudę nie spyta?

*

Nie wie o tym, że tu

Polskość wieki przetrwała.

Pamięć o Kmicicu

W legendach została.

*

Lubicza brak na mapie,

Ale są Wodokty Oleńki

Choć pałacu już nie ma śladu,

Zachował się kościół maleńki.

*

Mitruny widać po drodze,

Pacunele dumnie witają,

Na starym cmentarzu

Znani rodacy spoczywają.

*

Szetejnie mają nowy dwór

Kraj ten Miłoszem słynie,

W parku rośnie jego dąb,

Doliną Issa w dal płynie.

Strony rodzinne

Dawne strony rodzinne...

Nie zamienią ich inne!

Pamięć o nich zostanie,

Chociaż przyszło rozstanie.

*

Ule pszczele i pasieka...

Klon widoczny z daleka,

Obok duże kasztany,

Chmiel wijący altany,

*

Krzak jaśminu za płotem,

Wygon rozległy z błotem,

Który bocian nawiedza...

Dalej już widać miedza.

Słomianka

Moja Słomianka,

niegdyś

zadbana rodowa siedziba.

Już niewiele po niej zostało...

Miejsce,

gdzie stała stodoła

porosło pokrzywą,

sadzawkę zasypano

i rosną w niej krzaki,

po studni źródlanej wody,

za gościńcem,

nie zostało śladu,

zbutwiał krzyż przy drodze,

spiłowano klony,

połamały się płoty,

znikły śliczne kwiaty,

chata zmurszała

i jakby osiadła

pod ciężarem lat.

Dziś

kłóci się z mą pamięcią,

tam już nie jest mój dom.

Sad

W starym sadzie już nie ma czereśni

I słodkiej jabłonki dziś brak

Wtulona w brzozę słyszę dawne pieśni

Pamiętam jabłek rumianych smak

*

Dawno zamilkł już młyn wesoły

Za łąką znikły zbóż złociste łany

Nie pilnują podwórza sokoły

I cymbały już nie wołają w tany

*

Brak uli w sadzie, wymarły pszczoły

Znikły w malinach szyszki chmielu

Straszą pustej sadzawki oczodoły

Sad źródłem wspomnień wielu

Ks. Jan Naumowicz

Księdza stryja osobiście nie znałam,

Ale wiele dobrego o nim słyszałam.

To legenda, honor naszej rodziny!

Akacje kwitły mu na imieniny.

*

Za swą życzliwość powszechnie lubiany,

Słudźbie w kościele był wielce oddany.

W Świącianach po dziś o nim pamiętają,

Świeże kwiaty grób stale upiększają.

*

Była wojna, straszne, okrutne czasy,

Odgłosy mordu pochłonęły lasy...

Niby przestępców i księży schwytano,

Błogosławiącym lud życie odebrano.

*

Niewinnym zakładnikiem ksiądz Janek był,

Śmierć spotkał wspierając współbraci, tak żył.

Jego winą największą – bycie Polakiem!

Za nim dążymy raz utartym szlakiem...

Zobacz też:

Myślą gonię do Macierzy

Muzyka sakralnej przestrzeni



Alina Błońska

ALINA BŁOŃSKA - kompozytorka od ponad 20 lat związana z Hiszpanią. Absolwentka iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego oraz kompozycji Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu (klasa prof. Grażyny Pstrokońskiej-Nawratil, dyplom z wyróżnieniem). Udział w kursach w Polsce i w Hiszpanii. Tytuł doktora sztuk muzycznych w zakresie kompozycji uzyskany na uczelni macierzystej. Stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Samorządu Miasta Wrocławia, ZAIKS oraz szwedzkiego stowarzyszenia SIDA *Baltic*

Sea Unit. Laureatka I Konkursu dla Młodych Kompozytorów im. Tadeusza Ochlewskiego PWM (wyróżnienie), trzykrotna finalistka konkursu *Encuentro de Composición Injuve* oraz laureatka I nagrody ex aequo i nagrody publiczności na *I Concurso Internacional de Composición "María de Pablos"* w Hiszpanii. Wykonania na wielu festiwalach w Polsce, Hiszpanii, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech, Białorusi, Ukrainie oraz w Meksyku. W 2016 r. pod patronatem Instytutu Kultury Polskiej odbył się w Madrycie koncert monograficzny kompozytorki. Ponadto Alina Błońska komponowała m.in. na zamówienie *Deutschsprachige Evangelische Gemeinde* oraz Ambasady RP; instytucji znajdujących się w Madrycie. W 2019 r. wytwórnia Solé Recordings z Barcelony wydała pierwszą płytę autorską kompozytorki zatytułowaną „*La música callada*”. Od tamtego czasu kompozytorka nagrała w Madrycie drugą płytę („*Noche oscura*”), która zostanie wydana przez polską wytwórnię Dux.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Co jakiś czas mam wielką potrzebę obcowania z Pani muzyką. Ta muzyka do mnie powraca. Płyta „La música callada” (*Muzyka ciszą przepojona*) z 2019 roku wywołuje we mnie chęć kontemplacji, wsłuchiwania się w siebie i dotykania najgłębszych myśli, odczuwania własnej egzystencji, czy doznania piękna. Słuchając tytułowego utworu „La música callada” na wiolonczelę, bałam się

oddychać, żeby nie uronić żadnego dźwięku. Utwór ten został na końcu powtórzony przez orkiestrę, co spotęgowało jego wymowę. Po wysłuchaniu płyty długo jeszcze siedziałam w ciszy, żeby zostać w stanie, w który ta muzyka mnie wprowadziła.

Alina Błońska:

„La música callada” to jeden z wersów „Pieśni duchowej” hiszpańskiego mistyka św. Jana od Krzyża, rozumiany przez niego jako „głos Boga rozbrzmiewający w duszy człowieka”. Myślę, że sam cytat w dużej mierze tłumaczy dobór języka zastosowanego w utworze – musiał on być wyjątkowy czerpiąc inspirację z tak niezwykłego źródła. Nawiązując do Pani wrażeń, kiedy słucham obu kompozycji, muzyka przenosi mnie w inny wymiar. Odczuwam to zwłaszcza przy wersji orkiestrowej w znakomitym wykonaniu Orkiestry Kameralnej PR „Amadeus”. Na marginesie wersja ta powstała jako pierwsza i dopiero później „wyłoniła się” z niej wersja na wiolonczelę solo.

Czy komponując tego typu utwory, trzeba wejść na bardzo wysokie rejestry i mocno się skoncentrować, żeby usłyszeć ten właściwy głos? Czy też głos jest gdzieś w Pani, a Pani stara się go tylko wydobyć i przetworzyć?

Rozpoczęcie każdego utworu wiąże się dla mnie z ogromną koncentracją, ale przede wszystkim z wyciszeniem się i

wysłuchaniem we własne wnętrze. W tej tak ważnej chwili wyczekiwania na pierwszy dźwięk rodzi się załączek całego utworu.

„Muzyka ciszą przepojona” to tytuł utworu i tytuł płyty. Za utwór „Wołanie w ciszę” z 2000 r. otrzymała Pani nagrodę na konkursie kompozytorskim w Krakowie. Gdy podczas Festiwalu Muzyki w Łańcucie w latach 90.

przeprowadzałam wywiad z Krzysztofem Pendereckim, uderzyło mnie, jaką wagę kompozytor przykładął do pojęcia ciszy, jak ważną rolę odgrywała w jego utworach. - Cisza, to też muzyka - mówił. A czym dla Pani jest cisza w kompozycji?

Rzeczywiście, cisza w mojej twórczości, podobnie jak u Krzysztofa Pendereckiego, odgrywa istotną rolę, dlatego nie bez przyczyny kompozycja „La música callada” nadaje tytuł mojej pierwszej płycie. Wspomniany przez Panią utwór „Wołanie w ciszę” pochodzi jeszcze z okresu studiów, ale już wskazuje na znaczenie milczenia w moim języku muzycznym. Wpływa to z osobistej potrzeby ciszy... Żyjemy w coraz większym hałasie, już nie tylko na ulicy, ale nawet w domu z powodu narastającej liczby urządzeń elektronicznych i ekranów. Jesteśmy bombardowani obrazami w środkach komunikacji, galeriach handlowych... Osobiście odbieram to jako “zakłócanie” mojej osobowości. Przeładowanie bodźcami nie tylko odrywa naszą

uwagę wzrokową i słuchową, ale także negatywnie wpływa na ludzką psychikę.

W odniesieniu do muzyki cisza jest jej nieodłączną częścią, nie akustyczną pustką, jak mogłoby się wydawać. Czym byłoby samo brzmienie bez przynajmniej chwilowego milczenia...?

Dźwiękowym słowotokiem? W ciszy rezonują dźwiękowe „konstelacje” i to między innymi sprawia, że słuchacz doznaje wielu wrażeń estetycznych, duchowych. Tu nasuwa mi się pewna refleksja: z perspektywy osoby blisko związanej z Hiszpanią zauważyłam, iż wyczekanie ciszy wpisanej w utwór jest cechą Polaków, czy też narodów środkowoeuropejskich. Natomiast Hiszpanom jest czasem naprawdę trudno pozwolić wybrzmieć ostatnim taktom kompozycji, a niekiedy zdarza się nawet, że i w trakcie trwania utworu ktoś z publiczności zacznie klaskać. Wynika to zapewne z żywiołowego temperamentu południowców.

Skoro jesteśmy przy Krzysztofie Pendereckim, kompozytor powiedział też, że w komponowaniu wielkich oratoryjnych utworów, trzeba być architektem. Jemu marzyła się architektura, jako kierunek studiów, a że skończył kompozycję to z dźwięków buduje monumentalne budowle. Czy Pani też się czuje architektem swoich utworów?

Penderecki zasłynął jako kompozytor licznych monumentalnych dzieł. Ja nie miałam okazji napisać aż tylu kompozycji wielkich

rozmiarów. Uważam jednak, że każdy kompozytor jest architektem dźwięków niezależnie od tego, czy pracuje nad wielką formą wokalnoinstrumentalną, czy utworem kameralnym. Oczywiście komponując utwór rozmiarów katedry, praca kompozytora-architekta jest o wiele bardziej zauważalna, ale przecież również skromny dom wymaga tego, żeby go zaprojektować.



Nagranie rocznicowej kantaty z zespołem „La Spagna”

Czy dla kompozycji ważne jest miejsce wykonania utworu, bazylika, kościół, czy też sala koncertowa?

Bez wątplenia. Na podstawie własnych doświadczeń

przekonałam się, że przestrzeń sakralna jest najbardziej odpowiednia dla odbioru muzyki o charakterze religijnym. Inaczej odbieram „Pasję” Bacha w katedrze niż w typowej sali koncertowej. W tej ostatniej muzyka nie przemawia do mnie w taki sam sposób jak we wnętrzu kościoła gotyckiego. Natomiast sala koncertowa ze względu na swoje parametry akustyczne doskonale sprzyja recepcji muzyki symfonicznej i kameralnej, np. kwartetom smyczkowym Beethovena. A skoro już mówimy o przestrzeni, to chciałabym zauważyć, że od zeszłego roku wiele tracimy słuchając koncertów on-line. Ekran komputera nigdy nie zastąpi emocji obcowania z muzyką w sali koncertowej lub w bazylice, odczuwania jej atmosfery, reakcji publiczności... To już nie to samo przeżycie. Siedząc przed ekranem komputera trudniej mi utrzymać uwagę i w pełni zagłębić się w muzykę.

Powracając do Pani płyty „Muzyka ciszą przepojona”, jest na niej duża różnorodność, utwory są skomponowane na różne instrumenty i głos, wywołują też różny nastrój. Przyznam się, że jak słuchałam Pani płyty z odtwarzacza komputera, muzyka ta wydawała mi się niezrozumiała. Gdy jednak wysłuchałam ją na dobrym sprzęcie, z użyciem wzmacniacza lampowego, przeniosłam się w inny wymiar. Pani kompozycje są wymagające, potrzebują dobrej jakości odtwarzania, albo wykonania ich na żywo we wnętrzach o odpowiedniej akustyce. Czy Pani się ze mną zgadza?

To słuszna uwaga. Generalnie dotyczy to muzyki współczesnej, która często nacechowana jest intensywnymi efektami kolorystycznymi czy też dynamicznymi przez co może czasem „porażać” zbyt silną ekspresją słuchacza nieprzyzwyczajonego do tego rodzaju muzycznej wypowiedzi. Naturalnie zależy to także od utworu, ale jest bardzo prawdopodobne, że w przypadku sprzętu komputerowego w mniejszym lub większym stopniu dojdzie do zniekształcenia dźwięku. Zatem, żeby odpowiednio i bez uprzedzeń podejść do muzyki współczesnej – co nierzadko ma miejsce – trzeba jej słuchać na dobrym odtwarzaczu, a nie na tablecie czy smartphonie. Z pewnością nie jest to muzyka, która ot tak sobie może brzmieć w tle, podczas gdy wykonuje się jakąś czynność.

W Pani muzyce wyraźnie słychać mistykę i duchowość. Inspiracją dla Pani są kompozytorzy wieków średnich, renesansu i baroku - niemiecka średniowieczna mistyczka, kompozytorka i pisarka Hildegarda z Bingen, hiszpański kapłan, twórca renesansowych utworów polifonicznych Tomás Luis de Victoria czy też poeta hiszpański, wspomniany już św. Jan od Krzyża. Co Panią w nich zafascynowało?

Mistyka pojawiła się w moim życiu jeszcze w okresie studiów filologicznych. Zafascynowała mnie głębią trudnych do wypowiedzenia doświadczeń duchowych; przekraczających to, co

namacalne i widoczne gołym okiem. Z odkryciem św. Jana od Krzyża i innych autorów wiąże się postać Tomása Luisa de Victoria, głównego przedstawiciela hiszpańskiego mistycyzmu muzycznego, żyjącego w tej samej epoce co jego rodak, karmelita bosy i mistyk. Victoria to niezmiennie jeden z bliskich mi kompozytorów obok Hildegardy z Bingen czy Bacha, do których powracam z wewnętrznej potrzeby. Muzyka sławnego hiszpańskiego kompozytora i księdza, o którego był zazdrosny sam Palestrina, zachwyca niezrównanym połączeniem prostoty, piękna i wyjątkowej duchowości. Stylem, który przenika głęboko do duszy i sprawia, że zapominamy o tym świecie...

Komponuje Pani na instrument smyczkowy viola da gamba, popularny w renesansie i baroku. Czy użycie tego instrumentu ma nawiązać stylem do muzyki dawnej, czy też jest jakiś inny powód, że go Pani wykorzystuje w swoich kompozycjach?

Violę da gamba odkryłam w Hiszpanii, gdzie instrument ten jest bardzo ceniony. Pociąga mnie w niej wyjątkowa ekspresja, a zwłaszcza melancholia. Zasadniczą cechą gry na tym instrumencie jest uzyskanie jak najdłuższego wybrzmiewania 6-7 strun w zależności od modelu. Jest to przebogate źródło inspiracji zarówno w celu przywołania atmosfery muzyki dawnej, jak i potraktowania go bardziej współcześnie.

Utwór „Tombeau pour Pologne” (*Grób dla Polski*) z 2012 r. skomponowany został na violę da gamba i zadedykowany belgijskiemu wirtuozowi tego instrumentu Wielandowi Kuijkenowi. Służy uczczeniu pamięci polskiego narodu, który na przestrzeni wieków walczył o niepodległość, ponosząc przy tym wiele ofiar. Proszę powiedzieć dlaczego powierzyła Pani właśnie temu instrumentowi wydobyć tak emocjonalnej treści?

Wielanda Kuijkena miałam zaszczyt poznać osobiście dziesięć lat temu w Madrycie. Niewielkiej postury i o ujmującym sposobie bycia jeszcze wtedy był niekwestionowanym autorytetem dla młodszych pokoleń gambistów, zanim choroba zmusiła go do wycofania się z aktywnego życia. Nie mógł więc dokonać prawykonania mojej kompozycji. Tytułowe *tombeau* to gatunek o charakterze żałobnym, często spotykany w muzyce francuskiej. To nie przypadek, że właśnie nim się posłużyłam dla wyrażenia muzycznej refleksji na temat dramatycznej historii Polski. Z kolei budowa siedmiostrunowej violi da gamba stwarza ogromne możliwości wyrazowe i rezonansowe przez co sprzyja wydobyciu całej gamy emocjonalnych odcieni. Trzeba jednak zauważyć, że melancholia to cecha, pod względem kórej żaden inny instrument nie może konkurować z violą da gamba.

Z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości skomponowała Pani utwór kameralny „Hacia la verdad

como Quijotes - Ku prawdzie jak Don Kichoci” zainspirowany wierszem Cypriana Kamila Norwida „Epos nasza. 1848”. Pani utwory są wykonywane w wielu miejscach na świecie. Czy Pani celem jest opowiedzieć o naszej ojczyźnie tym, którzy o niej niewiele wiedzą?

Poruszyła Pani bardzo ciekawy wątek w mojej twórczości. Nazwałabym go wątkiem historycznym, a to stąd, że w liceum historia była jednym z moich ulubionych przedmiotów. Wątek ten pojawił się u mnie, podobnie jak i cisza, również w okresie studiów. Wtedy będąc pod silnym wrażeniem książki Józefa Czapskiego „Na niehumanitarnej ziemi” napisałam bardzo dramatyczną kompozycję zatytułowaną „Ziemia niehumanitarna”. Została ona potem wykonana w Polsce i we Francji. Drugą kompozycją przynależącą do motywu polskości w mojej drodze twórczej jest wspomniany już utwór „Tombeau pour Pologne”. Został on bardzo pozytywnie przyjęty przez Bettinę Hoffmann, jedną z czołowych europejskich violagambistek, jak i innych solistów tego instrumentu.



Nagranie utworu „Hacia la verdad como Quijotes”, głównie z polskimi wykonawcami z Madrytu

Natomiast trzy lata temu powstało “Hacia la verdad como Quijotes – Ku prawdzie jak Don Kichoci” na zamówienie Ambasady RP w Madrycie. Zastanawiałam się wówczas, czy wykorzystać wiersz Cypriana Kamila Norwida w oryginale czy może w hiszpańskim tłumaczeniu, jako że utwór miał być wykonany w Hiszpanii. Zdecydowałam się ostatecznie na tłumaczenie, żeby przez złączenie poezji z muzyką bardziej przybliżyć polską kulturę, a zwłaszcza mało znaną naszą historię. Stąd również wziął się dwujęzyczny tytuł kompozycji. Wybór akurat tego tekstu Norwida nie był przypadkowy. To właśnie dzięki temu poecie – tak zafascynowanemu dziełem Cervantesa – powieść wielkiego hiszpańskiego pisarza zaczęła być doceniana w Polsce. Warto wspomnieć w tym miejscu, że Norwid nauczył

się czytać na przygodach Don Kichota. Kiedy w zeszłym roku dokonaliśmy nagrania tej kompozycji ze znakomitymi polskimi muzykami z Madrytu, ponownie wybrałam hiszpańskie tłumaczenie z myślą o propagowaniu polskiej historii. Miło mi już teraz zapowiedzieć, że nagranie tego utworu znajdzie się na drugiej płycie, która obecnie jest w przygotowaniu.

Zdobywa Pani wiele nagród, Pani utwory są wykonywane w różnych prestiżowych salach koncertowych. Czy jest koncert, który Pani wyjątkowo pamięta?

Na pewno inaczej odbiera się własne koncerty za granicą. Prawykonania moich kompozycji z udziałem madryckiej Polonii były dla mnie zawsze wyjątkowe wraz ze świadomością, że poprzez swoją twórczość mogę przyczyniać się do pozytywnego postrzegania Polski poza jej granicami. Gdybym mimo wszystko miała wyróżnić jakieś wydarzenie, to byłby to mój koncert monograficzny w Madrycie. Wówczas po raz pierwszy polska i hiszpańska publiczność miały okazję posłuchać aż siedmiu utworów i w ten sposób lepiej poznać mój styl kompozytorski. Z perspektywy czasu wspominam dzień koncertu jako ogromnie stresujący od strony organizacyjnej, ale i kluczowy dla mojego rozwoju artystycznego.

Do niedawna mieszkała Pani w Hiszpanii, oprócz kompozycji studiowała Pani iberystkę, daje też Pani

wykłady na temat współczesnej muzyki hiszpańskiej w Polsce i na temat polskiej muzyki współczesnej w Hiszpanii. Co urzekło Panią w tym kraju, jego historii i sztuce, że zgłębia Pani jego kulturę i buduje mosty pomiędzy hiszpańską i polską kulturą?

Być może trudno w to uwierzyć, ale początek mojego długiego „związku” z Hiszpanią, który zaczął się od iberystyki, był dość przypadkowy. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. Z biegiem czasu okazało się, jak wielki wpływ wywarł on na moje życie i drogę twórczą. W czasie studiów muzycznych jeździłam na kursy kompozytorskie do Hiszpanii, gdzie poznałam wielu współczesnych kompozytorów. Na tamtym etapie największe wrażenie zrobił na mnie Cristóbal Halffter, twórca o niezwykle silnej osobowości. Potem, kiedy już mieszkałam w Hiszpanii, pozwoliło mi to zdystansować się wobec polskiej panoramy muzycznej, co dało mi poczucie niezależności twórczej. W sumie ponad 20-letni „związek” z Hiszpanią zaowocował sporą ilością kompozycji zainspirowanych kulturą tego kraju. Wymienię tu, oprócz wspomnianego wcześniej św. Jana od Krzyża i Tomasa Luisa de Victoria, poetów Garcíę Lorkę, Juana Ramona Jimenéza oraz meksykankę Juanę Inés de la Cruz.

Architektonicznie, malarsko, krajobrazowo i kulinarnie Hiszpania jest spektakularnym krajem. Muszę jednak przyznać, że z moją słowiańską duszą czasem brakowało mi gotyku

środkowoeuropejskiego i naszej rodzimej przyrody. Również co się tyczy charakteru Hiszpanów, choć lubię ich uśmiech i uprzejmość na co dzień w porównaniu z gburstwem na polskich drogach, nieraz w kontaktach odczuwałam brak słowiańskiej melancholii i mniej powierzchownego stosunku do życia.

Jak pandemia wpłynęła na Pani plany zawodowe?

Negatywnie. Rok temu na początku marca wraz z Instytutem Polskim oraz Instytutem Cervantesa w Madrycie prowadziliśmy rozmowy na temat prezentacji mojej płyty. Miała się ona odbyć w formie koncertu w Madrycie i Warszawie. Ogromnie żałuję, że do niej nie doszło..., gdyż program zapowiadał się naprawdę wspaniale przy współudziale hiszpańskiego kompozytora mieszkającego w Paryżu, José Manuela López López. Jeśli zamykane są sale koncertowe i kościoły, to siłą rzeczy musi się to odbić niekorzystnie na liczbie organizowanych koncertów i festiwali. Nie wszystkie będą w stanie przetrwać.

Czy myśli Pani o kolejnej płycie, ma Pani zamówienia na nowe utwory? Jak wygląda teraz Pani artystyczna droga?

Cieszę się bardzo, że pomimo obecnej sytuacji mam gotową drugą płytę nagrałą w Madrycie, zawierającą kompozycje wyłącznie skomponowane w Hiszpanii. W tym przypadku zależało mi na tym, aby została wydana w Polsce i ku mojej

radości w zeszłym tygodniu wytwórnia Dux z Warszawy powiadomiła mnie, że z przyjemnością podejmie się tego.

Projektem, który teraz bardzo leży mi na sercu, jest los obszernej kompozycji wokalnie-instrumentalnej „Wybrzeże 1970”, skomponowanej w zeszłym roku z okazji 50. rocznicy masakry na Wybrzeżu. Z powodu niesłychanie zawiłych komplikacji formalno-prawnych nie doszło do jej prawykonania zeszłej jesieni i w konsekwencji nie otrzymałam honorarium za rok pracy... Jest to 45-minutowa kompozycja nawiązująca w warstwie słownej i muzycznej do niezwykle tragicznych wydarzeń dla nas Polaków, we wstrząsający sposób pokazanych w filmie „Czarny czwartek”. W ten sposób chciałam złożyć hołd stoczniovcóm, którzy za wolność zapłacili najwyższą cenę – swoim życiem. W obecnych czasach kiedy najtrudniej o prawykonanie kompozycji „architektonicznych” rozmiarów, korzystając z okazji zwracam się do tych czytelników Pani magazynu, dla których pamięć o tej bolesnej rocznicy jest cenna i którzy mieliby możliwość wesprzeć finansowo ten projekt. Moim marzeniem jest, aby utwór, w który włożyłam tyle serca i wysiłku, mógł ujrzeć światło dzienne i dotrzeć do publiczności w postaci koncertu lub/i nagrania. Wierzę, że tak się stanie.

Zobacz też:

Miłość, która przetrwała rozłąkę

Jolanta Łada-Zielke (*Hamburg*)

Moi pradziadkowie ze strony mamy pochodzili z Kresów Wschodnich i byli rówieśnikami. Kazimierz Dołęga-Wierzbowski, syn nadzorcy majątku w Jaryczowie, już w wieku szesnastu lat (1901) rozpoczął pracę w Zarządzie Lasów Ordynacji Łańcuckiej Potockich. W styczniu 1914 roku poślubił Józefę z Makolondrów, rodowitą lwowiankę, która ukończyła Szkołę Gospodarczą dla

Dziewcząt w Wiedniu. Kiedy wybuchła wojna, został powołany do austriackiego wojska i po „bitwie galicyjskiej” we wrześniu 1914 r. dostał się do niewoli rosyjskiej. W momencie narodzin córki Zofii (listopad 1914) przebywał w Charkowie, a od 1917 roku w Kijowie.

Józefa Wierzbowska przez całą wojnę pracowała jako nauczycielka w jednej z lwowskich szkół. Dzięki studiom w Wiedniu władała biegle językiem niemieckim. Kiedy Lwów zajęli Rosjanie, wprowadzili zakaz używania „języka wrogów”, za którego przekroczenie groziły wysokie kary pieniężne. Józefa mówiła na co dzień wyłącznie po polsku. Na fotografiach z tamtego okresu prezentuje się jako przystojna dama o surowym wyrazie twarzy, w jasnej garsonce z długą spódnicą, białej bluzce i kapeluszu w ciemniejszym kolorze. Maleńką Zosię ubierała w białą bluzeczkę z szerokim kołnierzem, dwuwarstwową spódniczkę, rozpinany sweterek i zgrabne półbuciki. Dziewczynka nosiła też biały kapelusik z rondem wywiniętym do góry i opadające podkolanówki. Tak prezentują się na fotografii wykonanej w zakładzie „Kordian” przy ulicy Łyczakowskiej 9. Na ich wcześniejszym zdjęciu widnieje znak firmowy zakładu fotograficznego „Apollo” i adres – Łyczakowska 10. Czyżby dwa konkurencyjne zakłady fotograficzne obok siebie, czy ten sam, tylko ze zmienioną nazwą i numerem lokalu?



Ślub Józefy i Kazimierza



Babcia Wierzbowska z babcią Zosią

Matka zostawiała Zosię samą w ich mieszkaniu przy ulicy Kochanowskiego, a w ciągu dnia posyłała do niej którąś z uczennic jako opiekunkę. Prawie codziennie pisywała do męża na specjalnych kartkach pocztowych, udostępnianych przez Czerwony Krzyż, najpierw do Charkowa, później do Kijowa. Adres należało wpisywać w dwóch językach, polskim i rosyjskim. Odwrotną stronę, przeznaczoną na korespondencję, wypełniała drobnym pismem, żeby na małej powierzchni zmieścić jak

najwięcej słów. Nawet kiedy dzisiaj się to czyta, wywołują wstrząsające wrażenie, są bowiem przepełnione niewyobrażalną tęsknotą.

Lwów, dnia 23 października 1916.

Najdroższy, Ukochany mój Kazieńku! Ucieszyłam się niezmiernie wiadomością od Ciebie, czekałam bardzo długo, prawie 2 miesiące, możesz sobie wyobrazić, jak się tem strasznie martwiłam, boć Ty Kazieńku Jedyny jesteś dla mnie wszystkim, cały świat mnie nie obchodzi, Ciebie Jednego kocham nad życie. Zochna nasza codziennie prosi Bożę o szczęśliwy i jak najprędniejszy powrót Drogiego naszego Tatusia. Maleństwo swoim szczebiotem rozwesela mnie, bodaj na chwilę zapominam o tem osamotnionem obecnem życiu...

Odpowiedzi od Kazimierza przychodziły nieregularnie, często z paromiesięcznym opóźnieniem. Przebijała z nich troska o zdrowie małżonki i wychowanie córki.

Kijów, 27 marca 1917.

Najdroższa Józio! Już blisko dwa miesiące jak nie mam

wiadomości od Ciebie, ostatnią kartkę otrzymałem z 5 stycznia w miesiącu lutym. Ja, chwała Bogu jestem zdrow, mam posadę przy tartaku, zarabiam nieźle. U was zapewne już wiosna, a tu dotychczas jeszcze ciągle zima trzyma. Bardzo tęsknię za Tobą i w ogóle jest mi smutno tembardziej, że jestem sam bez znajomych. O was ciągle myślę, jak tam żyjecie i czy jako tako powodzi wam się. Bardzo Cię proszę, byś się nie denerwowała i żyła spokojnie, czekając cierpliwie końca, z tą mocną nadzieją, że powetujemy straty nasze i urządzimy sobie życie, jakie nam samym podobać się będzie. Ucałowania jak najczulsze zasylałam i Zochę ściskam. Twój na zawsze Kazimierz.

Lwów, dnia 14 kwietnia 1917.

Najdroższy, Ukochany mój Kazińku! Pismo od Ciebie dodaje mi werwy do pracy, bo to życie moje obecne strasznie smutne i monotonne. Oddałabym połowę życia mego, ażeby Cię móc zobaczyć. Gdyby nie nadzieja, że przecież temu wszystkiemu koniec będzie, to możnaby oszaleć. Zochna jak zwykle zgrabna i fertyczna, ale straszny wisus, usposobienie chłopca. Wkrótce przyślemy Ci naszą fotografię, ale chciałybyśmy mieć Twoją. Całuję Cię i ściskam jak najgoręcej. Józia.

Kijów, 30 czerwca 1917.

*Najdroższa Józko! Posyłam ci swoją podobiznę.
Fotografowałem się zimą. Dzięki Bogu zdrow jestem.
Zaszyłam najserdeczniejsze ucałowania.*



Kazimierz Wierzbowski w niewol rosyjskiej

Na tej „podobiznie” stoi przystojny mężczyzna z wąsem i w

wysokich butach, oparty o coś w rodzaju obudowy kominka. Ale i on miewał momenty załamania.

Najdroższy, ukochany mój Kazieńko! Już trzy lata upłynęło naszej strasznej rozłąki, a jednak mimo że boleję bardzo nad tem, nie tracę nadziei, że przecież i dla nas zajaśnieje horyzont i dzisiaj czuję się więcej spokojniejsza aniżeli na początku. Przykro mi bardzo, gdyż z Twojej korespondencji skonstatowałam, że Ty Najukochańszy mój Kazieńko jesteś zdenerwowany w najwyższym stopniu i zaczynasz nawet tracić ochotę do życia. Proszę Cię, odpędź te przykre myśli, nie poddawaj się tej depresji duchowej, myśl zawsze o tem, że i ja również muszę cierpieć, a jednak znoszę wszystko w imię miłości bezgranicznej dla Ciebie i dziecka. A zatem Mężuniu mój jedyny uspokój się i proś Boga o zdrowie. My również z Zosieńką modlimy się o Twój szczęśliwy powrót...

Kiedy Zosia miała dwa lata, pojawiła się możliwość spotkania z Kazimierzem w Kijowie, na co Józefa otrzymała specjalne zezwolenie. Pojechały tam pociągiem w wagonie trzeciej klasy, w strasznym ścisku. Dziewczynka usadowiła się na twardej, drewnianej ławce. Matka przez chwilę podróżowała na stojąco, aż w końcu wzięła małą na kolana.

- Bądź grzeczna i siedź cicho – przykazała jej – jedziemy do taty,

on jest w niewoli u Moskala.

Zosia była ciekawskim i trochę niesfornym dzieckiem, jednak na swój sposób rozumiała powagę sytuacji. Siedziała więc poważna, skupiona, od czasu do czasu grożąc sama sobie paluszkami i powtarzając cichutko: „Tata woli kała, tata woli kała...”

Pobyt obu pań Wierzbowskich w Kijowie trwał kilka dni. Po burzliwych powitaniach cała rodzina wybrała się na spacer po ulicach miasta. Rozdzieleni małżonkowie nie mogli się sobą nacieszyć. Zosię całkowicie absorbowало poznawanie świata. Na jednej z wystaw sklepowych spostrzegła konia na biegunach i zaczęła nudzić rodziców, żeby jej go kupili. Jej prośby stawały się coraz bardziej natarczywe. Wtedy dostała pierwszego klapsa od ojca. A kiedy byli już niedaleko domu, w którym Kazimierz miał kwaterę, zapragnęła nagle przejechać się tramwajem.

– Ale my już prawie jesteśmy w domu – próbował tłumaczyć ojciec.

Dziewczynka upierała się jednak przy swoim. Rodzice weszli z nią do jakiejś bramy i znów dostała parę razy po pupie.

– I co, chcesz jeszcze jechać tramwajem? – zapytał Kazimierz.

- Nie - odburknęła.

Po tej krótkiej wizycie matka z córką wsiadły do pociągu w miejscowości Popielna, aby wyruszyć z powrotem do Lwowa.

Parę miesięcy później wybuchła w Rosji rewolucja. Niektórzy jeńcy carscy zostali uwolnieni, ale Kazimierza nie wypuszczono. Jesienią 1919 roku napisał do żony długi list.

Najukochańsza Józko! Zapewne musiałaś pisać do mnie, lecz ja już siedemnaście miesięcy nie mam od Was najmniejszej wiadomości. Listy wysyłałem do Ciebie i Mamci, za pośrednictwem różnych ludzi, którzy przedzierali się przez front, lecz czy Ci doręczono? W 1919 r. w lipcu chciałem przedostać się do Galicji, w tym celu wyjechałem do Mińskiej Guberni. Front polski był nawet bardzo blisko, lecz niestety, nie tylko, że nie udało się moje przedsięwzięcie, lecz straciłem na to morze pieniędzy. Przeżyłem okropne czasy o głodzie i chłodzie, ustawiczne przewroty polityczne, a w rezultacie utrzymanie się władzy bolszewickiej na Ukrainie przez długi stosunkowo okres czasu. Co ludzie wycierpieli, tego opisać się nie da. Nic zarobić nie można było, ratowało mnie to, że miałem rzeczy i trochę oszczędzonych pieniędzy i jako tako egzystowałem. Drożyzna była tu wprost nie do opisania. Wprawdzie otrzymywałem 1000 rubli miesięcznie,

lecz cóż z tego, kiedy chleb kosztował od 80 do 100 rubli za funt.

Pomimo tak ciężkich warunków, umiałem sobie jako tako radzić, a nawet coś nie coś zaoszczędzić, by z próżnemi rękoma nie wracać do domu i mieć od czego nowe życie zacząć. Na nieszczęście zachorowałem tego roku na tyfus plamisty, chorobę przechodziłem bardzo ciężko, wyzdrowienie moje zawdzięczam opiece, jaką miałem. Leżałem bez przytomności, jednym słowem było ze mną bardzo źle. Dzięki temu, że serce u mnie zdrowe, chorobę przetrzymałem. Cały czas leczenia kosztował mnie 50 tysięcy rubli, a zatem wszystkie swoje oszczędności i część rzeczy na to przeznaczyłem i wyekspensowałem się kompletnie, w danej chwili nie mam nawet za co wyjechać. Jest to dla mnie o tyle bolesne, że nadzieje moje spełzły na niczem. Myślałem, że mając trochę gotówki, po powrocie będę mógł nasze życie jako tako znośnie urządzić.

Obecnie przychodzę do zdrowia, lecz jestem jeszcze bardzo osłabiony. Proponują mi tu korzystną posadę w banku, lecz ja już nie mam sił dłużej tu siedzieć, tembardziej, że dla Ciebie strona to obca i tęskniłabyś, a zresztą nie chcę się tu już niczego dorabiać – za ten zarobek nie mogłem w swoim czasie wyjechać i tyle wycierpiałem. Na razie komunikacji do Lwowa nie ma, chodzą tylko pociągi wojenne. Jak tylko

będzie możliwość, bezzwłocznie wyjadę.

Tak jestem ciekaw, co tam słyszeć, jak żyjesz, zapewne Zosia rozpuszczona. Marzę o tym, by móc już raz znaleźć się wśród Was i chociażby mi Bóg dał kilka lat spokojnie żyć z Tobą.

Wybacz najdroższa Józio, że list może nie bardzo czuły, lecz jestem jeszcze tak słaby i swoim położeniem przelęknięty, że doprawdy nie jestem w stanie zdobyć się na list więcej przyjemny. List posyłam okazją, również nie jestem pewny, czy dojdzie. Zasyłam jak najczulsze ucałowania, Zosię ściskam serdecznie. Twój uważnie Cię kochający Kazimierz

Kijów 16/V/1920.

Zdaje się, że nie tak prędko będę mógł wyjechać, ponieważ władze wojskowe robią wielkie trudności z wydawaniem przepustek.

Korespondencja wojenna

bez sprzeciwu i jakichkolwiek żądań poprowadził go w kierunku granicy. Kiedy Kazimierz stanął na progu lwowskiego mieszkania, miał ze sobą niewielki tobołek, a w nim między innymi fotografię pięknej, jasnowłosej kobiety.

- To tamtejsza - tłumaczył żonie i córce - chciała, żebym z nią został. Mówiłem jej, że mam w Polsce żonę i dziecko, a ona na to: *napliwat* na nich!

W pamiątkach po pradziadku znalazłam jeszcze inną fotografię przystojnej pani, z dedykacją na odwrocie, napisaną w języku rosyjskim: - *Mojemu wielce drogiemu przyjacielowi Kazmierzowi Edmundowiczowi od Loliczki*. A więc rzeczywiście miał go kto pielęgnować w czasie choroby, jak pisał w liście. Ale najważniejsze, że wrócił.

Rodzina Wierzbowskich przeniosła się do miejscowości Wydrze w powiecie żołyńskim, gdzie Kazimierz objął posadę Zarządcy Lasów Ordynacji Łańcuckiej hrabiego Alfreda Potockiego, którą to funkcję sprawował oficjalnie do 1933 roku. Jak opisuje Stanisław Kłos, obecnie teren Wydrza to rezerwat przyrody - *obejmujący wierzchowinę morenowego wzniesienia, porośniętą lasem mieszanym, z dominującym udziałem starodrzewu bukowego o charakterze buczyny karpackiej, stanowiącego*

osobliwy relikw w Kotlinie Sandomierskiej. Tu też znajdują się skupiska modrzewia polskiego.[1]

Leśniczówka, stanowiąca wówczas służbowe mieszkanie Kazimierza i jego rodziny, położona jest w północno-zachodniej części wsi, niedaleko odgałęzienia drogi w kierunku Julina.[2] Pałac myśliwski hrabiego Potockiego w Julinie podlegał też Wierzbowskiemu jako zarządcy.[3]

Józefa, nazywana w naszej rodzinie „babcią Wierzbowską”, która objawiała się w listach do Kazimierza jako kochająca i czuła małżonka, w stosunku do innych członków rodziny była surowa i despotyczna. Zawsze mówiła to, co myślała, a to nie przysparzało jej przyjaciół. Raz złożyła w kuratorium oświaty skargę na jednego z nauczycieli Zosi, który potem z zemsty próbował utracić ją na egzaminie maturalnym. Kazimierz Wierzbowski był sprawiedliwy, ale i wymagający. Raz w gospodarstwie na Wydrzu, jedna z krów – Cyranka, zachorowała na zapalenie wymienia, bo służąca nie wydoiła jej dokładnie. Kazimierz zapowiedział dziewczynie, że ją wypoliczkuje, jeśli sytuacja powtórzy się z inną krową.

Zofia często przebywała poza domem, ale „nie krzywdowała siebie”, jak sama mówiła. Miała dobry kontakt z rodzicami i pisywała do nich długie listy. Ukończyła Żeńskie Seminarium Nauczycielskie Sióstr Boromeuszek w Łańcucie (obecnie Zespół

Szkół Nr 1 im. Janusza Korczaka). Kiedy po maturze przebywała wraz z matką w Zakopanem, przechodziły ulicą obok tamtejszej, renomowanej szkoły hotelarskiej. Przystanęły przed budynkiem i zajrzały do środka przez oszklone drzwi. Nagle Józefa wykrzyknęła z radosnym zdumieniem:

- Tatarzanka!

Dyrektorka placówki, panna Tatarzanka, która właśnie pojawiła się w hallu, była szkolną koleżanką Józefy z Wiednia. Dzięki temu niespodziewanemu spotkaniu Zofia, wprowadzie z opóźnieniem o jeden semestr, ale „wskoczyła” na pierwszy rok i ukończyła tę szkołę. Poznała tu swoją przyszłą szwagierkę, Eleonorę Annę Balicką. Kolejnym etapem jej edukacji była Szkoła Kosmetyczna doktora Rychwickiego w Krakowie, z której zachowało się świadectwo oraz zeszyt z notatkami. Znajdują się tam przepisy, między innymi jak sporządzić krem do cery suchej i jak działają różne substancje. Egzamin końcowy składał się z trzech przedmiotów: fizjologia i przemiana materii z endokrynologią, dermatologia ogólna oraz ćwiczenia praktyczne. Po ukończeniu szkoły Zofia miała zacząć praktykę w jednym z krakowskich zakładów kosmetycznych, ale wybuch II wojny światowej pokrzyżował jej plany i wróciła na Rzeszowszczyznę. To doświadczenie nastawiło ją sceptycznie do robienia planów na przyszłość. Uważała, że nie warto, bo w życiu pojawiają się czynniki od nas niezależne, które wszystko zmieniają.



Dom Wierzbowskich w Łańcucie, lata 30.

W 1938 roku Wierzbowscy ukończyli budowę domu w Łańcucie. Stał na tak zwanym spadzie, czyli od strony ulicy Tkackiej wyglądał na dwukondygnacyjny, zaś od strony podwórza na jednokondygnacyjny. Tam, gdzie z Tkackiej widać było normalne okna w pokojach na parterze, z drugiej strony znajdowały się pomieszczenia piwniczne z małymi okienkami u góry. Zamieszkane było głównie piętro, które składało się z czterech dużych pokoi oraz kuchni i łazienki. Każde pomieszczenie miało osobne wejście, a wszystkie były dodatkowo połączone

wewnętrznymi drzwiami.

Babcia Zosia nie „bałakała” typowo po lwowsku, z charakterystycznym, śpiewnym akcentem, aczkolwiek używała niektórych słów i zwrotów, wywodzących się z tamtejszej gwary inteligenckiej. Na garnek z długą rączką mówiła „rynka”, na młodą cebulkę z nacią „trybulka”, sernik nazywała „serowcem”, choinkę bożonarodzeniową „drzewkiem”, a krawcową „krawczynią”. Swego czasu spodobało mi się słówko „cypundrak”. Babcia nazwała tak kiedyś moją sympatię z czasów szkolnych. Prawdopodobnie też podobałam się temu chłopakowi, ale nie potrafił mi tego okazać, bojąc się wyśmiania przez kolegów.

- Daj sobie spokój z tym cypundrakiem – poradziła mi.

Po paru miesiącach, kiedy miałam już nowy obiekt zainteresowania, zapytałam babcię, kto to jest ten „cypundrak”.

- To takie „ni to, ni sio” – wyjaśniła.

Innymi słowy człowiek chwiejny, nie wiedzący czego chce, zachowujący się raz tak, raz inaczej. W czasach młodości mojej babci i prababci było takich zdecydowanie mniej, ale na pewno istnieli, bo skąd wzięłaby się ta urocza nazwa? W każdym razie mój pradziadek, który mimo siedmiu lat rozłąki „nie napliwał” na

pozostawione w Polsce żonę i córkę, nie okazał się „cypundrakiem”.

„Zaľubkami na żeniaczkę”

Podczas okupacji hitlerowskiej Kazimierz Wierzbowski został pacjentem doktora Władysława Balickiego, swojego przyszłego zięcia. Potrzebował stałej opieki lekarskiej, ponieważ skutki przebytego w niewoli rosyjskiej tyfusu poważnie zaciążyły na jego zdrowiu. Mocne serce, dzięki któremu wyszedł z choroby, bardzo się osłabiło. Doktor zalecił mu paromiesięczną kurację w Krynicy, dokąd Kazimierz udał się w lecie 1941 roku. Alfred Hrabia Potocki napisał do niego pod koniec lipca z Julina. Miał ładne, ale rozwlekłe pismo. W jednej linijce mieściły się zaledwie cztery wyrazy, więc trzy serdeczne zdania zajęły mu całą stronę.

Szanowny Panie! Julin bardzo pięknie wygląda i serdecznie mnie witał dorocznym zwyczajem, tylko smutno było bez Pana! Mam nadzieję, że kuracja i wypoczynek Panu dobrze robią i że Pan wnet do nas powróci. Oczekujemy Pana wszyscy! Łączę wyrazy prawdziwego poważania. Potocki.

Julia 25 lipca 1941

Stanowem Panie !

Julia bardzo pytnie
wygląda i serdecznie
mnie wita, dowiedziawszy
wyraźnie, tylko smutno
było her Pana ! mam
nadzieję, że jeszcze wypro-
szyć Panu dobre robie
i że Pan wrót do nas ponie-
oczekujemy Pana wkrótce !

Łęka wyraz
prawdziwego powołania
Potocki



Alfred hr Potocki

Leczenie sanatoryjne mojego pradziadka nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Najlepsze ośrodki, z największymi wygodami były wówczas „nur für Deutsche”, a Polakom pozostawiono domy wypoczynkowe drugiej, lub trzeciej kategorii, leżące na wzniesieniach. Kazimierz mieszkał właśnie w jednym z tych wyżej położonych i podczas każdej wędrowki bardzo się męczył. Kiedy wrócił do domu, Józefa natychmiast napisała list do doktora.

Krynica wywarła jak najfatalniejszy wpływ na stan zdrowia mojego Męża. Przede wszystkim zrujnował sobie zupełnie żołądek i z powodu braku apetytu opadł zupełnie na siłach. Obecnie stan jego zdrowia jest zupełnie niezadowolniający, wprawdzie chwilami trochę się polepsza, ale bardzo często brak mu tchu, przy tym stale cierpi na bezsenność. Najbardziej niepokojącym objawem jest to, że ujawniła się prócz tego niedyspozycja wątroby i nerek, odczuwa dotkliwy ból przy głębszym oddychaniu. Jest więc obawa, czy nie ma coś wspólnego z płucami. Wobec tego prosimy bardzo wielce Szan. Pana Doktora o jak najrychlejsze przybycie.

Władysław był częstym gościem w leśniczówce na Wydrzu. Zofia zorientowała się, że wpadła mu w oko, choć początkowo nie miało to dla niej większego znaczenia. Zimą Władysław przyjeżdżał ze swojej rodzinnej wsi Woli Dalszej saniami zwanymi „załubki”, którymi powoził jego brat Emil; oficjalnie na wizytę do chorego, ale Emil śmiał się, że wozi Władka „na żeniączkę”. Załubki były przechowywane w stodole w gospodarstwie Balickich na Woli, ale już dawno rozsypały się ze starości.

Pewnego wrześniowego popołudnia 1942 roku obecność doktora Balickiego ocaliła rodzinę Wierzbowskich przed sześcioma ukraińskimi bandytami, którzy wtargnęli do leśniczówki podając

się za żołnierzy Armii Krajowej. Na Rzeszowszczyźnie wprowadzenie odnotowano przypadków grasowania band UPA, ale mogły to być niedobitki większych oddziałów partyzanckich, które zostały najpierw rozbite, a potem połączyły się w mniejsze grupy i plądrowały okoliczne miejscowości.

Jeden z intruzów, prawdopodobnie przywódca, oznajmił, że potrzebują żywności i ubrań, po czym zaczęli bezceremonialnie buszować po domu i wynosić co cenniejsze rzeczy.

– Jacy z was żołnierze?! – zawołała oburzona Józefa. – Bandyci jesteście i tyle!

Wtedy dwóch zbirów przystawiło jej i Zofii pistolety do skroni. W tym momencie z sąsiedniego pokoju wyszedł Władysław, który właśnie skończył badać Kazimierza, z zawieszonym na szyi stetoskopem.

– *Eto wracz!* – zawołał na jego widok jeden z Ukraińców, a w tonie jego głosu słychać było szacunek. Bandyci nie zrobili nikomu krzywdy, zadowalając się rabunkiem. Po ich odejściu Wierzbowsky sporządzili dla posterunku żandarmerii w Łańcucie protokół z zajścia, w którym wymienili wszystkie zabrane rzeczy: piętnaście koszul męskich, osiem damskich, bieliznę, trzy męskie garnitury, dwie pary sportowych spodni, jedną damską garsonkę, gabardynowy płaszcz męski, skórzaną czapkę, materiał na

garnitur, dwa wełniane koce, trzy pary butów – męskich i damskich, dwie sukienki, czternaście par skarpetek, siedem par pończoch, dwadzieścia chusteczek do nosa, dwa obrusy, cztery prześcieradła, poszwy na kołdry i poduszki, cztery zegary, trzy pary nożyczek, scyzoryk, golarkę i nóż do golenia, trzy teczki skórzane, jedną torbę myśliwską, szkło powiększające i gotówkę w wysokości 5200 złotych. Protokół sporządzono na maszynie, a przy każdym zrabowanym przedmiocie wpisano jego wartość. Posterunkowy o nazwisku Lisowski, który przyjął protokół, poskreślał ołówkiem niektóre sumy i wprowadził inne, o trzy razy mniejszej wartości. Tym samym ołówkiem sporządził na osobnym arkuszu papieru notatkę w języku niemieckim:

Potwierdza się, że dnia 20. września 1942 r. na Wydrzu koło Żołynii, sześciu uzbrojonych bandytów dokonało napadu rabunkowego na leśniczówkę. Wtedy, na szkodę Zarządcy Lasów Kazimierza Wierzbowskiego, zostały zrabowane wyżej wymienione rzeczy. Dochodzenie, prowadzone przez miejscowy posterunek policji, jak dotąd nie przyniosło rezultatów.

Śmierć na wygnaniu

Mimo że dom w Łańcucie został już wybudowany i urządzony, Wierzbowskich ciągnęło stale na Wydrze, być może ze względu na trudności z zaopatrzeniem w żywność w czasie wojny. Nie było tam jednak zbyt bezpiecznie, na co najlepszym dowodem jest wyżej opisany napad Ukraińców. Dopiero po tym incydencie i z powodu pogarszającego się stanu zdrowia Kazimierza, rodzina Zofii zdecydowała przenieść się na stałe do Łańcuta. Ale nie było im dane cieszyć się długo własnym kątem.

Ich dom spodobał się jednemu z miejscowych *volksdeutsche*ów, który zapragnął odnająć jego część, ale Wierzbowscy nie zgodzili się na to. Wówczas on opowiedział „komu trzeba”, jaka to atrakcyjna posiadłość znajduje się przy Webenstrasse, czyli ulicy Tkackiej. Wkrótce potem dom odwiedziło kilku żołnierzy niemieckich, którzy poprosili, żeby oprowadzić ich po obejściu. Wchodzili do pokoiów i oglądali każde pomieszczenie, komentując *hübsch, alles hübsch*[4]. Potem pożegnali i się i wyszli. Następnego dnia Wierzbowscy dostali nakaz natychmiastowej eksmisji. Ich posesja miała odtąd służyć za kwaterę dla niemieckiego oficera. Dokładnie w wigilię 1942 roku cała rodzina przeniosła się do mieszkania państwa Adamczaków, przy sąsiedniej ulicy Jana Cetnarskiego, (zwanej też Browarną), gdzie od tamtej pory gnieździła się w ciasnym pokoiku. Moja mama (córka Zofii) do dziś nie może zrozumieć, dlaczego nie poprosili hrabiego Potockiego o interwencję, bo on na pewno ująłby się za rodziną zaufanego pracownika. W tym

przymusowym schronieniu, 8 sierpnia 1943 roku, w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat zmarł Kazimierz. Był to ogromny cios, zwłaszcza dla Józefy. Całkowicie oddawała się rozpacz, więc córka sama musiała zająć się formalnościami pogrzebowymi. Z jednej strony trudno się dziwić, bo Józefa rozstała się z małżonkiem po raz drugi, po wspólnie przeżytych dwudziestu dwóch latach.



Narzeczeni – Zofia Wierzbowska i Władysław Balicki

Ów *volksdeutsch*, za którego sprawą wyrzucono Wierzbowskich z ich posiadłości, upatrzył sobie Zofię jako kolejną ofiarę swoich machinacji. Chciał, żeby wysłano ją do Niemiec na roboty, co się

nie udało, ponieważ miała pracę w Łańcucie i to aż w trzech miejscach: od 1940 roku jako pielęgniarka w lokalnym oddziale PCK, a także w ogrodach hrabiego Potockiego. W okresie narzeczeństwa Władysław wydał jej zaświadczenie, że zatrudnia ją w swoim gabinecie przy ulicy Konopnickiej jako „Bürohilfe”, czyli „pomoc biurową”. Ślub wzięli 12 lutego 1944 roku, w kościele parafialnym w Wysokiej Łańcuckiej, na pięć i pół miesiąca przed wyzwoleniem tych terenów, co nastąpiło 29 lipca. W dokumentach rodzinnych przechowało się kilka listów gratulacyjnych od krewnych i przyjaciół, którzy nie mogli przybyć na uroczystość z powodu wojennych trudności z komunikacją.

Przed opuszczeniem Łańcuta hitlerowcy podłożyli w piwnicy domu przy ul. Tkackiej bombę zegarową, która na szczęście została w porę rozbrojona. Młodzi państwo Baliccy wraz z Józefą powrócili do domu przy ulicy Tkackiej w 1945 roku. Władysław Balicki stał się wkrótce znaną postacią w całym regionie jako lekarz i społecznik, który pielęgnował lokalną kulturę. Jednym z jego osiągnięć było uratowanie przed rozbiórką łańcuckiej synagogi w 1955 roku. Ale to już zupełnie inna historia.

Przypisy:

[1] Stanisław Kłos, Łańcut i okolice, PUW „Roksana”, Krosno 1998, s. 7 i 71

[2] Por. Tamże

[3] Por. Zbigniew Pelc, Mój Łańcut, wyd. Techgraf – Łańcut Podzwierzyniec, 1997, s. 279

[4] Niem.: ładnie, wszystko ładne.

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego autorki.